

## [W MROKU NIENAZWANEJ ULICY]

Myślę o budynku stojącym w mroku nienazwanej ulicy. Nie widzę jeszcze tej ulicy i dlatego nie mogę jej nazwać. Nie widzę także budynku o którym myślę, zdaję sobie tylko sprawę z tego, że jak olbrzymie czarne drzewo ocienia i tak ciemną już nienazwaną ulicę, nieruchoma konstrukcja głębi i mroku, czarna, pokryta futrem szafa, podwodna rafa, wrak zatopionego statku, milczące pudło fortepianu na dnie jeziora, oplatanie przez wodorosty, zamieszkane przez zawieszane w jego wewnętrznych przestrzeniach ryby. Ulica nienazwana jest być może otoczona także przez inne budynki, ma swój początek i koniec, stanowi bocznice innych ulic i posiada także własne bocznicę, w tej chwili jednak nie zajmuje mnie bliżej, wystarcza mi fakt, że stoi przy niej budynek, który próbuję sobie wyobrazić, którego istotę próbuję sobie uzmysłwić. Nie widzę nic prócz czerni nocy, czerni której część jest bardziej nieprzenikniona niż reszta, wprawdzie nie jest bardziej ciemna gdyż nic nie może być ciemniejsze od czerni, lecz sprawia wrażenie bardziej zagęszczonej, bardziej skoncentrowanej. W tej właśnie części znajduje się budynek o którym myślę. Nie widzę nic więcej, nie wiem czy budynek posiada okna, nie wiem jak jest wysoki, nie umiem powiedzieć czy jest nowy czy stary, nie potrafię udzielić informacji na temat stylu w jakim został wykonany. Teraz widzę wnętrze jednego pokoju. Wnętrze jest jasne, oświetlone rozjazgotanym do maksimum światłem kilku nieosłoniętych żarówek. We wnętrzu po lśniącej, szklistej posadzce biega urzędnik, nazywam tego człowieka urzędnikiem, jest niski, ma najwyżej pół metra wzrostu, mały złośliwy krasnoludek, biega w kółko i w zygzaki z szybkością muchy, wydaje krótkie, ostre, urywane wrzaski jak rozwścieczona papuga. Niesłyszany jazgot i hałas jakim się otacza, bzykające wirowanie, wiatrak rąk, stonoga biegu, nie powoduje jednak najmniejszych zmian w gąbczastej, śniętej atmosferze domu. Myśląc o budynku stojącym przy nienazwanej ulicy widzę, że jest on tak samo nieruchomy i cichy jak poprzednio gdy nie brzęczała w nim jeszcze roztrzęsiona z emocji, zapieczętowana w butelce mucha urzędnika. Zanurzam się w mroczną toń wielkiego jeziora milczenia i spokoju. Gdzieś z boku i wyżej jest mały oświetlony świeczką pokój, przegniła, zbutwiała podłoga, pokryte pleśnią ściany, w rozsypującym się ze starości łóżku, otulona postrzępioną do ostatnich granic kołdrą siedzi wdowa i przegląda fotografie. Wdowa jest wielka, chuda, koścista, liczy sobie chyba dwa metry wzrostu, kosmyki siwo-żółtych włosów pozakręcanych w papiloty sterczą wokół głowy. Pokraczny cień jak na rysunkowym filmie, drga po ścianach i suficie, jak wielka ameba owija się dookoła zdezelowanych strzępów, pochłania całe fragmenty i tak już dość ciemnego wnętrza. Przez czarny las płynnego mroku, niesie ktoś niewidzialny, zmurszałą klatkę żółtego światła – na drugim końcu lasu wisi w przestrzeni butelka ze zwariowaną muchą. Należy wpuścić muchę do klatki lub wsunąć klatkę do butelki. Wśród puszystych, splątanych ogonów nocy, rozegra się dramat. Rozwrzeszczany, wirujący, pędzący nieustannie urzędnik wwierca się do pokoju wdowy i podczas gdy ta w panice zrywa się z łóżka, uderza głową o niski sufit, odbita wpada znów do łóżka, naciąga kołdrę na głowę, zrywa się i z zawiniętą głową pędzi wokół pokoju jak oślepiąca światłem ćma wywracając i roztrzaskując zbutwiałe sprzęty – urzędnik wbija się pod łóżko i utkwivszy głową w nocniku, zamiera bez ruchu! Ruch urzędnika udziela się teraz wdowie, spokój wdowy udziela się urzędnikowi. Wdowa jest jednak ogromna, koścista, mieszkanko jest zbutwiałe, równowaga i harmonia układu została zachwiana, rozsypują się klepki w podłodze, wyłamują się belki w suficie, rozparcelowuje się szybko klatka, wypada z niej nocnik z tkwiącym w nim urzędnikiem, łamią się nogi wdowy, odpada głowa, zapalają od świecy włosy i koszula, w bezdenną przepaść wiecznej nocy spadają płonące meteory, lśniąca kryształ, fosforyzujące

odłamki próchna! Dokonało się! Budynek znowu jest ciemny i myśl moja; nieoświetlona, niewidoczna chmura płynie anonimowo wśród nieprzeniknionych głębi. Myślę o budynku stojącym przy nienazwanej ulicy. Jak pokryte czernią eksplozje wirują w nim enklawy życia niedostrzegalne planety, których światło nie zdążyło jeszcze dobiec do naszych oczu, jak tumany zeschniętych liści pędzą we wszystkich kierunkach wsysane i wypychane sprzecznymi przeciągami zachwianej równowagi układu; stare fotografie rozpoznawalne jedynie dotykiem, szeleszczące na wietrze kartki nie wydanych książek, listy pisane sympatycznym atramentem, metryki nienarodzonych, oddechy zmarłych. Naruszyłem równowagę układu! Być może niepotrzebnie naruszyłem równowagę układu będącą gwarantem bezwładu i trwania, lecz równocześnie puściłem w ruch niepowstrzymany już niczym mechanizm destrukcji. Nie można już nic uczynić, nie można zahamować wielkiego koła, które wiruje w nieznanach regionach otchłani wśród narastającej entropii, posłuszne jedynie samokorygującym się w każdym momencie prawom rozkładu, aż do chwili, w której rozsypie się samo na miliony kawałków, a każdy z nich na miliony atomów, przywrócony zostanie spokój, powróci trwanie. Nie potrafię zatrzymać wielkiego koła, mogę jedynie zostać obserwatorem, ostatnim świadkiem, bezstronnym fotografem otaczającego mnie końca.

Fotografia, którą trzymam w ręku ma dwie prawe strony. Może są to dwie fotografie, zlepione ze sobą, trudno zorientować się w panujących wokół ciemnościach. To dziwne, że w ogóle widać cokolwiek na fotografii, którą trzymam w ręku. Jarzy się ona chyba wewnętrznym lśnieniem jak maleńki ekran telewizyjny. Po jednej stronie widać mężczyznę w śmiesznym staroświeckim tużurku, trzymającego za rękę dziecko. Ojciec namawia syna by dał się sfotografować. Chłopak nie chce się zgodzić na pozowanie. Ojciec obiecuje mu cukierki, ale chłopak nadal protestuje, ojciec obiecuje mu konia na biegunach, ale chłopak zaczyna beczeć, ojciec zwraca się do fotografa, którego nie ma na zdjęciu i prosi go o pomoc, fotograf zawiadamia chłopca, że z obiektywu zaraz wyleci ptaszek, ale ten nie wierzy w ptaszka, którego jeszcze nigdy nie zobaczył mimo, że wielokrotnie był fotografowany, chłopiec uważa, że ojciec jest zły, bo zmusza go do pozowania w czasie gdy inne dzieci budują w piasku zamek, ojciec obiecuje, że go zerżnie pasem jak wrócą do domu, chłopak ryczy coraz głośniej – odwracam kartkę. Po drugiej stronie jest spalone miasto, zbombardowane, spalone miasto, jak białe motyle śmierci wirują wszędzie niezliczone kartki papieru, kawałki bandaży, strzępki ubrań, ptaki i dym – odwracam znów kartkę. Chłopak wydziera się ojcu, ojciec krzyczy do fotografa, fotograf w imieniu ojca obiecuje konia na biegunach i rower, ojciec nie protestuje, ale chłopak jest ambitny i postanowił już raz, że nie zgodzi się na zdjęcie – biorę kartkę i rozdieram ją w miejscu gdzie łączą się dłonie i syna. Są już na dwóch oddzielnych kartkach, chłopiec trzyma w ręku oddartą krwawiącą dłoń ojca, ojciec ściska drugą ręką urwany kikut. Obracam połówki zdjęcia względem siebie w ten sposób, że i ojciec i syn znajdują się teraz po dwóch przeciwległych stronach w otoczeniu ruin i pożaru. Trzymając urwaną rękę ojca, chłopak patrzy na płonące miasto, woła do fotografa czy nie widział jego ojca, szli razem do fotografii ale rozpoczął się alarm, trzyma w dłoni tylko urwaną rękę, nie znajdziesz już ojca - myślę sobie - zostanie ci tylko ta ręka, dlaczego nie chciałeś się sfotografować, zostanie ci tylko ta ręka – odwracam zdjęcie. Ranny ojciec stoi sam wśród dymu i wiru spalonych papierów, zwraca się do fotografa, pyta się o syna, czy nie widział gdzieś jego syna, biegnie wzdłuż płonących ruin i nawołuje, dym zakrywa jego postać, szum ognia i trzask płonących belek zagłuszają jego słowa. Biorę fotografię i drę ją na drobne kawałeczki, które przesypują mi się między palcami i znikają wciągane przez mrok destrukcji, toną w bezdennym kałamarzu nieistnienia. Jak płatki śniegu wokół latarni ulicznej wirują, iskrzą się w ciemnościach tysiące fotografii drżących wewnętrznym światłem, pulsujących tętnem zapomnianej roślinności. Ich materialna struktura jest tak lotna i nietrwała, że gdy usiłuję je schwycić rozsypują się w lśniący pył lub obraz ich rozpląta się w

przestrzeni, pozostaje w dłoni jedynie pusta ramka, tajemnicze zwierciadło odbijające czerń nocy, gładka tablica, grobowiec zapomnianych uczuć. Tam gdzieś w głębi, niesłychanie daleko jak ognista dziura w niezgłębionym worku nocy migoce samotne światełko. Podążam nieustannie w jego kierunku z szybkością jaką dać może jedynie przerażona myśl, lecz nie czuję bym się doń przybliżał. Być może, jest tak niesłychanie odległe, iż trzeba całych lat na pokonanie tej odległości, być może znajduje się w nieskończoności i nawet miliony przebytych kilometrów nie zmniejszają ani o ułamek jego odległości. Być może jednak także, że znajduje się zaledwie o włos poza zasięgiem ręki, lecz porusza się z tą samą szybkością co ja i w tym samym kierunku, zatrzymując wtedy gdy zatrzymuję się ja i ruszając natychmiast gdy pragnę je dotrzeć.

[Pod kreską] 31.10.63

Ten fragmencik może trochę lepszy niż to co wczoraj pisałem. Dziś w ogóle jestem w lepszym nastroju i zaczynam wierzyć, że może coś z tej roboty wyjdzie.

Wydaje mi się że to całkiem do dupy. 19.11.63.

Absolutnie pretensjonalne styl jak u Mniszkówny 20.1.64.